

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Z DZIENNIKA STAREGO
DZIADA

Józef Kraszewski

Z dziennika starego dziada

«Public Domain»

Kraszewski J.

Z dziennika starego dziada / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Pan Gabriel to starszy samotny mężczyzna, były porucznik, który z braku innego zajęcia postanawia pisać dziennik. Opisuje w nim swoje codzienne zajęcia, życie proste i ubogie. Jego dni zdają się być takie same — jednego dnia rozmawia z myszkami, innego opiekuje się psem. Ale pewnego dnia pojawia się u niego Czupurny, sierota i łobuz, którego pan Gabriel chce przyjąć pod swoje skrzydła, wyedukować i wychować. Chłopak jednak nie pali się do tego pomysłu. Sytuacja zmienia się, gdy pojawiają się jego dawni koledzy, a dobroć i naiwność starszego mężczyzny nie raz zostają wystawione na próbę.

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

11

Józef Ignacy Kraszewski

Z dziennika starego dziada

...Samiuteńki jeden, jak palec, na świecie całym! siedem krzyżyków, zgarbione plecy, włosów omal, sił niewiele, snu mało, wspomnień do zbytku, pieniędzy odrobina – a w sercu pustki? – Nie. Gdy się nie może żywych, kocha się umarłych, a ci żywi, jak mi Bóg miły, nie tak są znowu źli i czarni, jak ich tam malują!

U Kasi, dokąd chodzę na kawę, gdy się czasem rozgadam ze wspomnieniami mojemu, a rozgrzeję, ten i ów mi powiada: – ale bo, panie, mości – poruczniku – lub t. p., powinienbyś asindziej spisać te różne historye przeszłości, zawszeby się to na co zdało! Zapewne! choćby na zawijanie pieprzu lub sera, albo pod placki!

Albo się to nie wiedziało tego, co za los czeka papier zapisany! Jeszcze dziś pół biedy, papier, gdy stary, nauczono się szanować, a no dawniej, jak tylko nie dokument, nie oblig, w piecu tem palono! albo i gorzej – tymczasem, miły Boże! co z życia zostaje? kawałek papieru – albo nic...

W dziesięć lat po śmierci człowieka gadają o nim, jak o żelaznym wilku; wnuki nie wiedzą o dziadku więcej, niż o królu Gwoździku i bracie jego, Ćwieczku. Ja, com żył, napatrzyłem ci się tego, nasłuchiłem gadania o tych, z którymi poufale przestawałem. Jeszcze grzeszne ciało nie zbutwiało, a pamięć się ulotniła, jak woń, albo za pozwoleniem, smród w powietrzu.

A choć papier – *habet sua fata*¹, poczciwy to przyjacieli, z którym pogawędzić miło.

Siedem krzyżów, stare dzieje, a dorachowawszy do tego, że się znało i żyło z tymi, co też mieli po siedem, mając sam jakie lat dwadzieścia, to się prawie półtora wieku ma z żywych ust, *de auditu et visu*², no – może i więcej.

Znałem ci ja takich, co czasy Augusta III-go pamiętali, a opowiadali o ojcach, co żyli za Sobieskiego.

Kaduk wie, jest w tem jakaś tajemnica, że, kto o tych czasach z papieru tylko wie i uczył się ich z książek, całkiem inaczej je rozumie i czuje.... Ale co o tem pisać, nie moja sprawa. Jam wcale nie filozof, ale *simplex servus Dei*³.

16 maja. Przystąpiło tedy do mnie pisanie; wczoraj się kawałek nasmarowało, chce się zaraz i dzisiaj tego samego. Można się przyzwyczaić, nie przymierzając, jak do wódki, i nałóg sobie zrobić z tego: *quod Deus avertat*⁴.

Osobliwe bo teraz moje życie. Wszystko mnie odumarło – a mnie wola Jego przenajświętsza przytrzymała na tym świecie, abym sobie *liber baro*⁵ pobaraszkował....

U Potockich mam kapitału półtora tysiąca czerwonych złotych całego mienia, prowizyi biore pięć od sta, co czyni siedemdziesiąt i pięć czerwonych złotych, czyli złotych naszych półtora tysiąca. W sepeciku gotówką, na wypadek choroby lub czegoś ekstraordinaryjnego, złotych tysiąc w dukatach obrączkowych. Garderoba siaka taka....

Z precyozów: dwie obrączki ślubne, sygnet pradziadowski z krwawnikiem, zegarek bregietowski, który idzie, jak słońce! Bielizny ni nadto, ni za mało. Czego chcieć?!

Czym dobrze zrobił, że się przeniosłem do miasta, po dziś dzień nie wiem jeszcze, ot, już rok, jak mieszkam w kamienicy na Starem Mieście, drugi się poczyna w czerwcu na Święty Jan, a sam Bóg widzi, nie wiem, czym dobrze zrobił, czy nie, że się przeniosłem. Na wsi, w komornem niema się gdzie staremu dziadowi pomieścić, a drugim człek zawadza i sam nic nie robi. Miasto dla próżniaka ma więcej dystrykcji.

¹ *habet sua fata* – ma swoje losy (łac.). [przypis autorski]

² *de auditu et visu* – o słyszanem i widzianem (łac.). [przypis autorski]

³ *simplex servus Dei* – zwykły sługa Boży (łac.). [przypis autorski]

⁴ *quod Deus avertat* – co niech Bóg odwróci (łac.). [przypis autorski]

⁵ *liber baro* – wolny człowiek (łac.). [przypis autorski]

Dystrybucya dnia doskonała. Zrejestrujemy ją. Godzina siódma zimą i latem budzi się człek; jeżeli nie spał, nie potrzebuje się budzić i wstaje. Tandem wszystko nagotowane i stoi z wieczora do rannej kawy na machince, nawet garnuszek śmietanki już sprażonej, tylko odegrzać, i para sucharków. Westchnąwszy do Boga i umywszy się dla siebie a ludzi, jeżeli zima, sam pan, sam sługa w piecu sobie zapalam. Na stole już się kawa gotuje... Jeżeli lato lub wiosna, okno się otwiera. – Z okna widok nie osobliwy. Dachy, dachy, dachy, a za dachami nad piaskiem czupryniki lasu. Alegórą jaskółki, pod oknem wróble, czasem sroka się przesunie, a na dachach kot, spacerujący, psia jucha, za wróblami – robi paskudną dystrakcję.

Powietrze na tych wysokościach – jeżeli z kominów sąsiednich dymem nie zawiewa – niczego. Nie to, co na wsi, bo czego to z niem w mieście człek się nie nałyka!! jednak niem ludzie żyją.

Kawa – kawałeczek cukru rzuca się na ziemię w ką dla znajomej myszy, która po niego regularnie przychodzi. A taka śmiała, że, gdybym zapomniał, to się ryzykuje z pod krzeselka ku środkowi, upominając o daninę. Resztki sucharków lub chleba sypię wróblom na okno. A i te zbereźniki tak się uzuchwaliły, że gdy okno zamknięte, w szybę dziobią. Otóż to tak, gdy się kogo nazwycza, że mu się służy!

Tandem⁶ miasto się rucha na dobre – idę na mszę do księży dominikanów, dziad znajomy częstuje tabaką zieloną i dostaje grosz, więcej nie mogę dać – ale ten go regularnie dochodzi, jak cukier moją mysz. Na tej mszy przed ołtarzem Matki Boskiej bywa nas krągło osób pięć, nie licząc księdza, serwitora i służby kościelnej.

Stara jejmość w czarnym kapturku z ogromną książką i workiem, w okularach, która wzdycha na kościół cały, wdowa po rzeźniku z Długiej ulicy. Item⁷ o kiju staruszek w kapocie, suponuję, woźny być musi, modlący się przykładowie z rękoma złożonymi i oczyma podniesionymi. Item stara panna, loki rude przyprawne; musiało to kiedyś być piękne, formalnie kokietuje Pana Boga, tak się mizdrzy... Item staruszka, której się ręce okrutnie trzęsą i głowa także, a podnieść jej już nie bardzo może – ta się modli z pamięci, bo nie dowidzi nieboga.

Item, ostatnia dziewczyna jakaś z różańcem u ręki, blada, oczy jakby wyplakane, koszyk przy niej. Sługą być musi, pobożna jakaś bardzo. Może też, oprócz Panu Bogu, nie ma się komu poskarżyć.

A szósty pan Gabryel Kalasanty Rzempiński, sługa wasz, ongi porucznik, niegdy kawałek obywatela, ale to wszystko *praeteritum plus quam perfectum*⁸.

Godzina dziewiąta, zimą czy latem, dlatego żeby nie zardzewieć i nie skostnieć, człek lokomocyi używa *per pedes apostolorum*⁹, bo na inny rodzaj kieszeń nie pozwala.

O wierzchowej jeździe, choćby człek i mógł jeszcze na siodle się utrzymać, mowy być nie może, a o powozie – ani myśleć. Ale po trotuarach, gdy nie bardzo ślizko, gdy nie bardzo błotno, gdy niema śniegu, gdy niema tłumu, spacer ku ogrodowi Saskiemu lub Krasińskich, lub w aleje – wcale wygodny. Czego chcieć? – ławka się gdzieniegdzie znajduje.

Tu tedy spektakl gratis. Prawie nikogo nie znam, mnie też tak, jak nikt, mogę sobie swobodnie bąki strzelać i napatrzeć się do woli na to, co mnie spokusi.

A w mieście, dalipan, jest bo na co patrzeć. Tać to są żywe komedye chodzące, jeśli nie tragedye, ci ludzie, co się po ulicach kręcą. Czasem się i smutna farsa trafi. Już mi się zdarzało, jako wiekowemu człowiekowi, widzieć w karetach takich, co zapałki roznosili, i w dziurawych butach tych, co paradowali poszóstno....

Spacer trwa z rozmaitemi waryacyami do obiadu. Jadam zwykle w traktyerzyku na Długiej u Hołkiewiczów, ludzie niezli, chociaż zupę dają przebrzydłą, ale za ten grosz, który się tam płaci, trudno pulpetów i bażanta wymagać, a ludziska też zarobić muszą. Ja się dziwuję zawsze, jak oni i

⁶ *Tandem* – tedy (łac.). [przypis autorski]

⁷ *Item* – także (łac.). [przypis autorski]

⁸ *praeteritum plus quam perfectum* – dawno minione (łac.). [przypis autorski]

⁹ *per pedes apostolorum* – piechotą (łac.). [przypis autorski]

to mi dać mogą za te niespełna dwa złote, co się im płaci. Jadło się niegdyś lepiej; a na starość, na starość i apetyt niewielki, i byle co starczy. Siłami się nie szafuje. Byle iskierkę tlejącą czemkolwiek podsycić, by nie zgasała.

Hołkiewicz czasem do obiadu, zamiast przystawki, plotkę jeszcze jaką miejską da.

Zły to pono zwyczaj, że się po obiedzie przedrzemać muszę, ja to wiem, ale się nałogiem stało. Muszę się więc wdrapać na trzecie piętro i, siedząc na sofce, trochę chrapnąć. Budzę się regularnie, gdy gdzieś na nieszpór dzwonią, i, otrząsnąwszy się, do Kasi. Kawiarenka nieosobliwa, ale się do niej nawykło, ma się tu swój stołek, swojego „Kuryerka”, „Gazetę Warszawską” i filiżankę kawy, nie takiej, jak ranna, co ją sam robię, z cykoryą – ale to tam mniejsza. Kilku znajomych zawsze sięznajdzie; czas, jak z bicza trzasł, zejdzie do wieczora... Co tu robić? Staremu po teatrach i ogródkach się nie włóczyć, bo i niema za co – więc spacer znowu, ale po mieście i z gawronadą. Od Starego Miasta do świętego Aleksandra – nim się dojdzie, napatrzy się człek do syta, wesel i pogrzebów, pijaków, kłótni, ekwipażów, łobuzów i – czasem ekstreordynaryjnych ewenementów.

Otóż i wieczór; zwrot ku domowi powoli i na górę, porządkuje się nieco gospodarstwo, ściele łózko, pacierze mówi, pomyśli o przeszłości i kładzie na spoczynek. Gdy sen sklei powieki, Panu Bogu dziękuję.

17 maja. Myszy mojej dziś nie było ani słyhać, ani widać, kawałek cukru leży pod stołkiem nietknięty. Czy niezdrowa, interesa jakie familijne, czy, uchowaj Boże, ten kot bury gdzie ją schrupał.

Nie mogę cierpieć tego szelmy, bo to zbójca prawdziwy, poluje na wróble, dobiera się do gniazd jaskółczych, stacza boje ze szcurami, a myszy łyka, jak kluski. I że to tego kto nie zabije – bo to jest zwierzę szkodliwe i paskudne, już spojrzawszy nań, obrzydliwość bierze. Koty bywają zwykle czyste, myją się, czeszą; ta bestya najeżona, poopalana, brudna, ucho jedno gdzieś ucięte, a z oczów mu patrzy łotrostwo. Ale nie może być, żeby moja mysz miała się eksponować na dachy, po których on poluje. Po co? daje się jej cukier, bułka... czasem i co w dodatku.

Raz już tak było, że jej nie widziałem trzy dni, i myślałem, że się co stało biednemu zwierzęciu – aż czwartego dnia – jest! A ja ją znam! i z twarzy, i ze śmiałości poznałbym ją zawsze, a kiedy z sobą raz przyprowadziła jakąś kompankę, zaraz wiedziałem, która obca. Niema nic w świecie pociesniejszego, jak gdy, wlaższy w sam kątek, siądzie na tyłku, w przednie łapki cukier chwyci i tymi białymi ząbkami chrup, chrup. Czysta wiewiórka i tak elegancko wygląda.

Coby się jej stać mogło! Zdechnąć nie miała przyczyny, wyglądała żwawo i zdrowo... Okaże się jutro.

Wróble się stawiły do apelu wszystkie. To miejskie wisusy, czyste łobuzy uliczne. Na wsi, pamiętam, cale to inaczej wyglądało, czyściej, trochę dziko, ale nie miało to tego urwiszowstwa w sobie, co tutejsze. Miasto działa na wróble. Gdzieś się to brucze, pióra nie w porządku: jedno się nastawiło, drugie nadłamało, trafiają się kulawe, a widziałem jednego, co mu tylko jedno oko zostało, ale proszę tylko patrzeć, jak się to tłucze, czubi, a wrzeszczy, a wierci. Satysfakcja na to patrzeć. Mówią, że Trembecki, szambelan, wszystkie wróble, co do niego chodziły, znał, i ich genealogię. Bałamuctwo! Genealogię! ale ba! – gdzie u nich genealogie, albo to pyta ojca i brata... Jedna tylko ekscypcy: sam to eksperymentowałem. Gdy matka ze smarkaczem przyleci, co dopiero niedawno się nauczył siakotako ruszać skrzydłami, sama nie je, a jego karmi. Czasem, z pozwoleniem, durniowi pakuje w gardło i tak go oćka, oćka, że się ledwie potem ruszy. A bury na to tylko czeka... Nie! ten bury, ten bury! Słowo daję, dałbym złotówkę, żeby go kto jakimspobem sprzątnął, bo tu się nic dalej żywego przed nim nie utrzyma.

18 maja. Myszy, jak niema, tak niema. Coś zaszło – coś w tem jest. Szkoda mi jej. Ale kto wie? Może nie wychodzi z dziury dla słabości i gotowa w niej zdechnąć z głodu.

19 maja. Dziś miałem ekstreordynaryjną przygodę. Stróż Demko zachorował, który mi nosi wodę na górę, no i czasem przymiecie i śmiecie zabiera. Nic osobliwego pójść ze dzbankiem do studni, bo ja się tam tego nie powstydzę, ale na trzecie piętro, na moje nogi, jest subiekcyi trocha.

Czuję potem w kolanach, bo się i tak spuścić trzeba i wdrapać razy kilka. Wszyscy na tego gospodarza krzyczą, że zdierca i kłótnik, a ja tego z nim nie doświadczam, bo oto, wiedząc, iż niema komu mi wody przynieść, sam się o chłopca postarał i przysłał mi go. Skąd on go wziął – Bóg go wie, gdzieś z rynsztoka, bo to dopiero łobuz na łobuzami, co się zowie!! Jakem go zobaczył, a! Jezu miłosierny! choć go za biletami pokazywać. Buty, poczynając od nich, gdzieś ze śmietnika chyba wziął i dwa razy większe, niż jego niemożliwe łapy.... Spodnie na jednej szelce, obszarpane a zatłuszczone. Spencerek, dam dukata, kto mi powie, jakiego koloru; twarz zamorusana, włosy, jak szopa. A we łbie tym dwoje oczu, jak węgle, czarnych.

Gdy mi się zjawił na progu, myślałem, że przyszedł po jałmużnę, i jużem się gotował z trzygroszniakiem i z kazaniem – aż tu, nie pytany, obejrzał się i do dzbanka.

– A tobie co do niego?

– A kiedy gospodarz mnie przysłał, przez to, że Demko chory.

Więc rozmowa.

– Cóż Demce?

– Kto to może wiedzieć? leży, a zębami dzwoni.

Ani chybi, febra – pomyślałem.

– A ty się jak zowiesz?

– Na chrzcie, to ja wiem, że Józkiem mnie nazwali, a tak – mnie prześladują Czupurnym.

Zacząłem się śmiać.

– Czekał, a skądżeś ty?

– A znikąd, proszę pana.

– Co u licha, a skądżeś się wziął?

– Byłem u majstra, u szewca, co prawda, ale, jak się spije, to tak wali, że kości łamie, tom uciekł i służy do latania przy sklepach, i ot tak, jak się zdarzy.

– Nie masz rodziców?

– Gdzie? kiedy ich już nie stało! – rzekł Czupurny.

– Gdzie legasz, ha?

– Śpi się to tu, to tam. – I począł się dobierać do dzbanka.

– Patrz-że – rzekłem – żebyś nie stłukł, a popłócz i palców w niego nie maczaj.

Rozśmiał mi się, pokazując zęby białe i furknął. Mój miły Boże, co to z tego wyrośnie! Na gałąź! Aż żal. Bo nawet zdaje się sprytne.

Gdy ze dzbankiem powrócił, dałem mu trzy grosze. Setnie mi się go żal zrobiło, i byłbym go po głowie pogłaskał, ale go ani dotknąć, taki brudny.

Pocałował mnie w rękę.

Pytam go:

– A co to z ciebie będzie?

Rozśmiał się i podrapał za ucho.

– Abo to ja wiem.

– Uczyćby cię czytać – odezwałem się.

– A mnie się to do czego zdało! – rozśmiał się. Ale drapnął mi zaraz.

Jeżeli przyjdzie drugi raz, lepiej się z nim rozgadam, bo to żal, zwala się.

20 maja. Mysz tedy jest, wróciła wczoraj. Co jej było, trudno dociec. Przyszła szparko bardzo po swoją daninę i jadła, jak zgłodzona. Kruszynki nie zostało. Zdaje mi się, że kawałeczek z sobą poniosła. Kto to może wiedzieć? może matka dzieciom? Jak tam to biedactwo podrośnie, ona je pewnie przyprowadzi.

Wróble na gwałt jeszcze gniazda ścielą, bo widzę, że, gdzie było jakie piórko, słominka, puszek, wszystko chwytają i po dziurach zawłóczą. Jaskółki też bardzo czynne. Wszystko to pracuje i po swojemu Pana Boga chwali. Nie wiem, dlaczego nietoperzów nie lubię. Jak tylko zmierzch, to te włóczęgi biorą się, skądciś nie wiem, i głupio latają. Muszę okna zamykać, bo jeszczeby mi który

wpadł do izby, a mówią, że, jak się to we włosy wkręci... Prawda, że u mnie ich mało, ale jeszcze gorzej, gdyby takiemu jegomości ubrdało się siaść na łysinie. Z tego może być choroba nawet. Do czego się to zdało na świecie te nietoperze! jednemu Panu Bogu wiadomo.

Miałem tedy znowu wizytę Czupurnego. Dziś już był u mnie, jak w domu, a ze mną, jakbyśmy się znali od wieków. Jucha sprytna, łobuz prawdziwy, zabawiał mnie anegdotami brukowemi; że staruszkę powóz na Dziekaniu przejechał; że się u Panny Maryi jakoby u dzwonu serce urwało, co ludzie różnie tłómaczą. Spytałem się go o Demka, bo mi go żal, choć napija się; mówi, że leży i stęka. Gospodarzby też powinien posłać i po doktora, bo się to tak biednemu człeku dać zdychać nie godzi.

Gdyby Czupurny chciał się uczyć czytać? Nie mam tak dalece co robić, chętniebym mu się o elementarz postarał i pokazał, ale gdy mu wspomnę o tem, drapie ze strachu.

21 maja. No i Demkowi się zmarło. Zdawał się człek pilny, tylko, że się zakrapiał. Chwycił gdzieś febry wiosennej, nic łatwiejszego, wódka go rozgrzała i nie czuł. Powiadał mi gospodarz, że, gdy przyszło do rewizyi łachmanów i siennika, jak zaczęli chodzić po węzełkach, złotych ze trzysta się znalazło samemi dziesiątkami i berlinkami. Nie do wiary. Jakaś baba teraz się przyznaje, że była jego żoną, i rości prawo do sukcesyi, a gdy żył, nigdy jej tu widać nie było. Dopiero mi rozpaczać zaczęła, gdy już leżał martwy i trzysta złotych się znalazło.

Mysz znowu regularnie przychodzi. Co jej było? Podobno nie odgadnę.

Z Czupurnym jesteśmy za pan brat. Ryzykuje się od progu do pół pokoju i wszystko ogląda – oczyma sznurkuje. Takie to ciekawe a rozgarnięte – a takie brudne. Straszniem się śmiał, gdy mi dziś z pychą oznajmił, że gospodarz go przyjął w miejsce stróża. Słyszę, nie chciał na żaden żywy sposób, a ten mu po nogach pełzał, żeby na próbę go tylko, na tydzień choćby przyjął, i zaklina się, że domu nie odstąpi i że wszystkiemu radę da. Ciekawym. Gospodarz przez kalkulację gotów go zatrzymać, a to się na nic nie zdało. Dziecko się zamęczy, no, i niczego się nie nauczy i na wiek wieków zostanie przy miotle i cebrze.

23 maja. Znowu myszy mojej niema. Prowadzi życie nieregularne, tegom się po niej nie spodziewałem, bo minę ma uczciwą, a bałamuci się. Nie spodziewam się, żeby ją jakie nieszczęście spotkało.

Że dziś deszcz padał, nie rychłom wyszedł. O niezwyklej godzinie patrzę, z dziury, którą ona przychodzić zwykła, wyłazi pyszczyk, ale nie jej. Dowodnie wiem, że nie jej. Ta wchodzi śmiało, a ten intruz oglądał się i oglądał, więc jak nie tupnę nogą – a nie pójdiesz ty mi precz! Dostyc, że się już i inne o tym przesmyku dowiedziały. Ale zasię! miejsca jeszcze wakującego niema, a ja kilku myszy żywić nie mogę, zwłaszcza, że ten Czupurny, no – nie można się nie ulitować, a bywa, jak powiada, głodny. Jużci nie kłamię.

24 maja. Teraz, gdy przychodzi po dzbanek, a nie ma co robić, czasem się zagadamy. Spytałem go, ile ma lat.

– Tego to ja nie wiem, proszę pana. Jak matusi się zmarło, to mnie Izydorowa, przekupka, wzięła z miłosierdzia, com siedział, ja tam nie wiem, coś lat dwa przy straganie. Razem jej bułkę zwędził, czegoś zła, zła – i precz – a że mnie szewc Sawikowski widywał, poszedłem doniego. Wzion mnie. Myślałem, co mnie swego rzemiosła uczyć będzie, a on, za uszy wytargawszy, powiedział, że mi jeszcze zawczasu. Tom po to u niego był, żeby się znęcali nade mną, kto żyw. Majstrowa sobie, Sawikowski sobie, a szelmy chłopcy, to łaska Boża, że wyszedł z duszą. Bywało, od serów na głowie guz na guzie, a sińców to ani zliczyć. Napije się majster, to, byłem pisnął, to wali pociągaczem, bo to u niego był zwyczaj i po trzeźwemu, żeby rozumu nabijać, dostawało się i drugim. Takem go i porzucił.

– Cóż z ciebie będzie? – spytałem.

– Jak Pan Bóg da, stróżem będę; a na co mnie więcej. Demko, słyszę, strach, co pieniędzy nazbierał.

Rozśmiałem się.

Powiedział mi nazwisko straganiarki, u której był, ciekawość wzięła u niej o chłopca popytać.

Baba herod czysty, spała okrutnie, a mała, trochę wąsów, a wyszczekana i no! Jużem ją przywitał, jak nie można grzeczniej. Zrazu zrozumieć nie chciała, po co przychodzę, a gdym o Józku zagadał, poczęła, jak pytel:

– A bo to jucha! skurczypałka! nic dobrego! Łasował a łasował, i w miejscu go nie było utrzymać; gdzie się dwóch łobuzów tłukło, on pewnie już tam trzecim musiał być. Toby jeszcze było nic; bo to młodość – trudno, ale ja go, bywało, po macierzyńsku, w mordę chlasnę, to mi zaraz nogi za pas i ucieka. Słyszę, że i u szewca nie wytrwał.

Poczęła wróżyć gałąź i szubienicę; a jednakjawnie go jej żal było. Spytałem, czy nie wiedziała co o rodzicach.

– Jakżeż nie, tomci ich znała: ojciec się zapił, ale to bodaj nie był ojciec, bo się z nią ożenił, gdy ten już był na świecie. Matka była zbytnica, ot też i skończyła marnie. Jabłko się nie odtoczy od jabłoni.

Gdym odchodzić chciał, poczęła pytać o chłopca – tak go jej było żal.

25 maja. Myszy niema, prawdopodobnie już nie wróci. Wróble też pono jadła nie potrzebują, jak w zimie i w ciężkie czasy, zdezertowały; jeden Czupurny mnie się trzyma. Przynoszę mój chleb, co go nie dojem przy obiedzie, a czasem i jaką polizówkę. Chłopiec się do mnie przywiązał i spoufalił się, że już do stolika przychodzi, oprze się łokciami na nim i tak ze mną gawędzi.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.